

TERRY CARR

ZBIÓR OPOWIADAŃ

Spis treści

Ozymandias	3
Taniec Przemieniającego się i Trójki	17

Ozymandias

Przekład: Dariusz J. Toruń

Wyszli ze świetlaków wyjąc i podskakując, śmiejąc się i popychając, wyśpiewując w ciemność nocy monotonną, niemelodyjną pieśń. Przeszli obok kamiennych płyt, dwukrotnie je okrążyli i, ciągle chichocząc i podśpiewując, wyciągnęli się w zygzakowatą linię, która, jak wąż, zaczęła wpełzać na wzgórze. Przejście od płyt do granicy zajęło im dziesięć minut. Dla chodziarza było to tylko 50 kroków, ale oni nie byli chodziarzami – byli okradaczami i mieli prawa, którym musieli być posłuszni.

Sooleyrah szedł na czele. Był najlepszym wśród nich tancerzem najszybszym, najlepiej się poruszającym i, co ważniejsze, najbardziej pomysłowym. Każde podejście do krypt musiało się różnić od poprzedniego. Jako drugi w linii zawsze szedł wypatrywacz. Jeżeli zauważył układ taneczny, który wydał mu się znajomy, miał obowiązek pchnąć lidera, kopnąć, podstawić mu nogę lub uczynić cokolwiek, co byłoby konieczne, by wymusić zmianę rytmu czy kierunku. Wyprawy, w czasie których lider wymyślił wystarczającą ilość nowych wariacji, a wypatrywacz był pewien, że nie ma w nich powtórek z przeszłości, kończyły się sukcesem. Gdy jednak liderowi lub wypatrywaczowi coś się nie udało, zawsze ktoś ginął od gazu, w eksplozji, a czasem nawet od dźwięku – bez – dźwięku. Sooleyrah był dzisiaj w dobrej formie i nawet Kreech, wypatrywacz, musiał to przyznać,

– Dobrze idziesz – śpiewał – dobrze, dobrze, dobrze idziesz. Popchnął lidera, ale tylko dla zabawy i, tańcząc wokoło czekał aż ten się podniesie i pójdzie dalej.

– Łatwo, tak, łatwo – śpiewał Sooleyrah. – Łatwo pchnąć lidera. Bez powodu, pieprzonego powodu. drobił dwa kroki do tyłu i okręcił się, muskając wyrzuconą wysoko nogą szczękę Kreecha.

– Powód, powód na następny raz – zaśpiewał i wybuchnął śmiechem.

Z tyłu, za nim, Kreech wykonał obrót i mignął nogą przed twarzą następnego w linii. Roześmiał się. Mężczyzna, idący za Kreechem zrobił to samo i tak kopniak i śmiech wędrowały wzdłuż linii, aż do idącego na końcu. Sooleyrah podskoczył trzy razy, upadł i potoczył się w górę, w stronę widocznych na tle nocnego nieba krypt.

– Nieważne, całkiem nieważne – powiedział Kreech. – Idziesz dobrze, idziesz źle, bez różnicy.

Potoczył się w ślad za Sooleyrahem. Małe dzwoneczki, które nosił w kieszeni podartej koszuli, zadźwięczały głucho.

– Słyszałeś, tak, słyszałeś co powiedział, bez różnicy.

– Gówno prawda – zaśpiewał Sooleyrah. – Pieprzony grubas, gówno wie.

Zatrzymał się i spojrzał wstecz, na ciągnącą po stoku linię. Grubas szedł niedaleko za nimi, dysząc ciężko z wysiłku, próbując nadążyć za tempem tańca. Na pierwszy rzut oka można było zauważyć, że nie był do tego przyzwyczajony. Szara tunika pokryła się plamami potu, zlepione włosy zwisały strąkami na czoło.

Kreech zatrzymał się, odwrócił, spojrzał w dół. To samo zrobił następny mężczyzna z linii, i następny, i tak dalej, aż odwrócił się ten, który szedł przed grubasem. Grubas wyraźnie przestraszył się, potem się zorientował i spojrzał do tyłu.

Sooleyrah zaśmiał się znowu i wrócił do swego tańca.

– Pieprzony grubas i tak niedobry – zaśpiewał. – Niedobry, nic nie wie, niedobry, nic nie wie.. Sam jesteś pieprzony – powiedział Kreech. Grubas jest niemal-myślakiem. Pieprzone niemal.

Sooleyrah parsknął lekceważąco i wykonał serię szczególnie trudnych skoków, głównie z myślą o pogniębieniu tego niemal-myślaka tam z tyłu.

– Pieprzone niemal tak dobre jak nigdzie, nigdzie – zaśpiewał. – Te myślaki teraz nigdzie, nigdzie. Trupy.

– Poza grubasem – powiedział Kreech.

– Gówno grubas – zdenerwowany Sooleyrah wypadł z rytmu pieśni. – Grubas nie wie, ale ty wiesz, ja wiem. Krypty są ciągle tam, tam! – wskazał na wzgórze. – co grubas wie? Więc tańczymy, śpiewamy, ostrożnie, cholernie ostrożnie.

Byli już w połowie drogi na szczyt wzgórza. Pod nimi blask świetlaków ginął w pokrywającej dolinę jasnej mgle, z której tylko tu i ówdzie wychylały się w nocne niebo szkielety budowli.

Z każdym krokiem w górę stoku ciemność rosła i gęstniała. Krypty odcinały się z tła słabego, rozproszonego światła gwiazd masywnymi, czarnymi sylwetkami. Zajmowały cały wierzchołek wzgórza. Większość z nich była zniszczona, rozpadająca się – rezultat setek lat wypraw okradaczy z doliny. Te, które ciągle jeszcze stały, były całkiem puste – tak w każdym razie twierdziły myślaki.

Sooleyrah nie wierzył myślakom – zawsze były jakieś krypty, które można było otworzyć. Zawsze były i zawsze będą. Pieprzoną głupotą jest twierdzenie, że ich nie było, albo nie będzie.

Jeżeli wszystkie krypty stałyby się puste, nie byłoby więcej świecących pudełek, zabawek

ani narzędzi, które mogłyby zastąpić te zużyte lub połamane, albo te, które się znudziły i zostały wyrzucone. Nie byłoby samośpiewów ani obrazków, ani żadnej z tych rzeczy, które zastały tu zgromadzone dla ludzi z doliny. To byłoby niesłychane, nie do pomyślenia i Sooleyrah nie mógł sobie tego wyobrazić. Wiec tańczył, podążając w góra, rzucając się w lewo i w prawo, tocząc się i pełzając, śmiejąc się bez przyczyny, a za nim pozostali, jeden po drugim powtarzali jego ruchy, tańczyli i skakali, byli echem jego śmiechu, spływającym w dół, wzdłuż pnącej się ku kryptom linii.

Lasten, grubas był przestraszony. Nigdy przedtem nie uczestniczył w wyprawie, ani też nie był do niej przygotowany. Wiedział, że lada moment może popełnić jakąś straszną omyłkę i wtedy inni rzucają się na niego. A jeżeli nawet uda się im dotrzeć do krypt bez kłopotów, to na pewno będzie to Noc Nieśmiertelnych. „Prawdopodobnie gaz albo dźwięk – bez – dźwięku” – pomyślał. „Nie tak straszne są oślepiacze – można potem wrócić jeszcze w dolin. Ale to będzie coś, co mnie zabije, na pewno” No cóż, i tak miał szczęście, że żyje – wszystkie myślaki zostały zabite ubiegłej nocy. Zmasakrowali ich Okradacze – ustawili na centralnym placu i ukamienowali. Lasten zadrżał – oh, te wrzaski, ta panika, ci nieliczni, którzy powłócząc potłuczonymi nogami usiłowali uciec. Czuł do siebie nienawiść za tchórzostwo, za to, że się schował w jakiejś nieużywanej piwnicy. I tak słyszał wszystko, co się działo, widział nawet kilka najgorszych, najbardziej okrutnych scen. Wdzierały się do jego mózgu płynącymi od myślaków falami przerażenia oraz, chwilami, uniesienia i obłąkanym szaleńcem zabijania, który opanował okradaczy. Lasten, grubas, czuł to wszystko, był wyrodkiem, jednym z dziesięciu procent rodzących się w każdym pokoleniu mutantów. Niektórzy przychodzili na świat bez stóp, albo z dodatkowymi palcami. To byli ci zwykli, którzy mogli żyć równie łatwo jak wszyscy normalni. Przyjmowali dziesiątą część łupów od jarmarcznych złodziei za dostarczone im wiadomości i plotki. Zbierali je, włócząc się tam i z powrotem, w pokrywającym targowiska kurzu. Inni rodzili się umierający, albo już martwi, z galaretowatą czaszką lub sercem zbyt małym, aby podtrzymać życie. A tylko niewielu miało dodatkową, nie występującą u nikogo innego, cechę nie po prostu jeszcze jedną parę rąk lub groteskowo olbrzymie części intymne (jak Kreech, jak Kreech), ale prawdziwy talent. Na przykład ojciec Lastena miał talent do liczb – mógł zapamiętać ile sezonów wcześniej zaszło jakieś wydarzenie, albo jak często coś się zdarzyło podczas jego życia, albo nawet składać w głowie jedne liczby, by uzyskać inne. A Sooleyrah utrzymywał, że ma gdzieś w mózgu takie miejsce, które pozwalało mu zawsze utrzymać

równowagę. Dlatego jest takim dobrym tancerzem.

Lasten słyszał ludzkie umysły. Nie myśli – ludzie nie mają wewnątrz myśli – Lasten słyszał emocje i pojawiające się w mózgu obrazy. Czerwoną nienawiść, gotującą się i wybuchającą, czasami czysty strach, biało niebieski, fantazje seksualne, odbijające się w jego głowie i burzące spokój. Wizje przychodziły nieproszone. jeżeli były, jak ostatniej nocy, naprawdę silne, nie mógł się przed nimi zamknąć. Krew, ciemna krew na ziemi, krew bluzgająca ze strzaskanych czaszek, smuga czerwieni, znacząca drogę kogoś, kto chciał wczłogać się w bezpieczne miejsce. I krzyki – Lasten słyszał wycie morderców i jęki zabijanych, a potem, kiedy się to skończyło, ocknął się skulony w kącie, z gardłem zdartym od wrzasku: Płakał.

To wszystko było niepotrzebne. Nie zabiliby go jeszcze – nie był myślakiem.

„Tak, tylko myślaki są zabijane, tylko oficjalne myślaki. Głupi Okradacze nie wiedzą, że ja też jestem myślakiem, tylko jeszcze nie zostałem wprowadzony. Głupi Okradacze nie znają tego trzykroć pieprzonego faktu”.

Próbując wykonać podskok z obrotem potknął się o własne stopy i runął na ziemię. Pomyślał, że tak zostanie, leżąc – niech linia go minie, a on będzie leżał i odpoczywał. Ale następny w linii kopnął go mocno, potem jeszcze raz, i znowu, i Lasten jęcząc, z wysiłku, podniósł się na nogi. Wiedział, że z tej wyprawy nie wróci żywy. Prawdopodobnie nikt nie wróci żywy.

„Powiniennem próbować uciec, odtoczyć się w ciemności, gdzie mnie nie będą mogli zauważyć. Może po prostu pójda dalej. Nie mogą się zatrzymać, by mnie szukać, nie mogą. Cała linia musi trzymać rytm, bo inaczej podejście się nie uda, musi tak być. Pieprzeni, głupi Okradacze”.

Nie był jednak dostatecznie szybki, by zniknąć z zasięgu ich wzroku, zanim go złapią i wciągną z powrotem do szeregu. Wiedział o tym. Tak, pieprzeni głupi Okradacze mają zamiar dać się zabić, wysadzić w powietrze, spalić – a grubas myślak Lasten musiał dać się zabić razem z nimi, bo nie mógł uciec.

– Grubas upadł – zaśmiał się Kreech, podnosząc, za przykładem Sooleyraha, nogi wysoko, jak najwyżej. – Diapell przykopał mu, przykopał, grubas wstał.

Sooleyrah zatrzymał się i spojrzał ze złością w dół. Grubas był już z powrotem w linii, niezdarnie starając się naśladować ruchy innych.

– Grubas przeszkadza mi w podejściu, zabije go, zatłukę go kamieniami, kamieniami, zatłukę

go – nucił. – Zrobię go myślakiem, jak resztę, jak resztę. Każdy myślak niedobry.

Określił się i zrobił kilka łatwych podskoków.

– Mówiłem zostawić go, zostawić – zaśpiewał Kreech, skacząc za Sooleyrahem. – Niedobry tancerz, masz rację, cholerną rację. Niedobrze dla reszty.

– Grubas tańczy dobrze, ale ja zatłukę go kamieniami – powiedział Sooleyrah.

– Nikogo nie zatłuczysz jak też będziesz trup. Niedobry tancerz, niedobre podejście, niedobrze w kryptach. Będziemy trupami, przez grubasa, pieprzonego.

Sooleyrah zwolnił tempo tańca jeszcze bardziej. Zakołysał biodrami, zachichotał i wybuchnął wysokim, piskliwym śmiechem.

– Idę wolno, idę łatwo dla grubasa. Idę łatwo, on nadaży, my dojdziemy do krypt, nie będzie śmierci. Kręcę dupą, kręcę, to rodzaj tańca, grubas tańczy i tak, zawsze – znów zachichotał. – Będzie pewność, że dziś nie ma śmierci w kryptach, grubas zobaczy, krypty są tam, ciągle. Sam zobaczy, jak zawsze tak, jak zawsze... Kreech skoczył naprzód i zamachnął się, by kopnąć go w kostkę. Ich nogi splątały się i obaj runęli na ziemi. Sooleyrah przetoczył się i wstał niemal natychmiast. Potężniejsze ciało Kreecha uderzyło ciężko o trawę, ale i on podniósł się, mamrocąc pod nosem.

– Źle szedłeś tam – zaśpiewał. – Za bardzo tak samo, idziesz źle, idziesz wszawo. Trzeba iść dobrze, Sooleyrah, iść dobrze. Idź dobrze.

Następny w linii podskoczył do Kreecha, chciał go kopnąć i obaj zwałili się na ziemi. Sooleyrah zachłysnął się śmiechem i zatańczył dalej, w górę stoku.

– Dziś idź dobrze, tak – zaśpiewał. – Niech grubas myślak zobaczy, potem jutro, jutro kamieniami go, tak.

Wszystko było takie niepotrzebne, takie bezsensowne. Lasten sapał i pocił się, starając się nadażyć za ruchami mężczyzny, który szedł przed nim, dokładnie powtórzyć każdy jego gest, każdy krok, obrót czy podskok. Niepotrzebne, bezsensowne. I tak nie miało to znaczenia. Cały ten rytuał podchodzenia tańcząc, to podśpiewywanie, lider i wypatrywacz – wszystko to nie było konieczne. Okradacze za każdym razem, gdy wyprawa kończyła się sukcesem myśleli, że za pomocą szpiki tańca przełamali tabu, że w przeciwnym wypadku byłiby zagazowani, oślepieni, zabici. Niebezpieczeństwo i śmierć – to pas obrony Nieśmiertelnych, przez który wyprawa musiała czasami przechodzić. Nie miało to nic wspólnego z tańcem i obrzędami.

„Tak, tańcz dobrze i wejdiesz, albo tańcz źle i będziesz trupem. Głupota, głupota”.

Wszyscy bliscy Lastena byli myślakami – tymi, którzy chronili starą wiedzę i umiejętności – w każdym razie to, co z nich zostało. Wiedzieli, że krypt nie strzegą zaklęcia, demony ani magiczne prawa, oceniające taneczne kroki pokoleń okradaczy. Nie, krypty były strzeżone przez Nieśmiertelnych sposobami, których nie znały już nawet myślaki. Ale to nie była magia. Każdą kryptę otaczały ukryte oczy. Strzegły do niej dostępu, posługując się gazem, wybuchami albo dźwiękiem – bez-dźwięku czy oślepiającym światłem. To była broń, która miała nie dopuścić do krypt nieproszonych gości. Świat, który stworzył krypty, już nie istniał, zniszczony przez wybuchy i gazy tak potężne, że zabiły większość Nieśmiertelnych. Krzyczeli i umierali, krzyczeli i umierali, aż została tylko garstka, przedzierająca się przez ruiny, z kobietami, rodzącymi dziwne dzieci, z oczami wypalanymi przez świetlaki, które pojawiły się i pokryły wszystkie niżej położone miejsca.

Każdej wiosny, gdy tylko skończyło się topnienie, ludzie z doliny urządzali uroczystość poświęconą pamięci tych wydarzeń, podczas której myślaki opowiadały ich historię.

Sooleyrah dotarł do bram. Słyszał, że kiedyś stał tu mocny mur, ale teraz zostało tylko okalające wierzchołek pasmo gruzów.

Mur został kompletnie zdewastowany przez pokolenia okradaczy, którzy rozbierali go gołymi rękami, kamień po kamieniu, rozrzucając wokół szczątki. Stały jeszcze tylko bramy, dwie stalowe konstrukcje, wyszczerbione i zżarte przez rdzę. Nocny mech wypełznął na nie, przykrywając je do połowy ciemną, zieloną szpeciną. Wokół czaiła się cisza.

– Dobra, wchodzimy – zaśpiewał Sooleyrah. – Wchodzimy, hej, my wchodzimy, teraz!

Zatańczył naprzód tak szybko, jak tylko mógł – słyszał, że wielu okradaczy zostało tu zabitych, nie pamiętał jednak, by w czasie jego życia zdarzył się taki wypadek. Po drugiej stronie, wewnątrz, zatrzymał się, drobiąc nogami w miejscu i wysokim głosem nucąc jakąś pieśń, podczas gdy Kreech i jeden, dwóch, trzech mężczyzn weszło za nim.

– Teraz my w środku – powiedział cicho do Kreecha i obaj odwrócili się, by spojrzeć na krypty. Za nimi, tańcząc, wchodziła reszta. Mężczyźni zwalniali i zatrzymywali się, jak Sopleyrah i Kreech, ciężko dysząc i rozglądając się wokół.

– Która? – spytał Kreech. – Byłeś tu trzy, teraz cztery razy. Do której wchodzimy?

Sooleyrah zmrużył oczy, przyglądając się kryptom. Miały różne rozmiary i kształty, niektóre były wysokie jak obeliski, inne kopulaste, jeszcze inne dziwnie kanciaste. Sooleyrah zawsze bał

się krypt. Jeżeli nawet nie były niebezpieczne, ich rozmiary budziły w nim strach.

– Świeące pudełka są w kryptach dla nas, nie ma innego powodu, co? – powiedział do Kreecha. – I samośpiewy, i narzędzia, niektóre zabawki pewnie też, dużo kształtów, co? Wsadź je do świecących pudełek i chodzą, tak, one chodzą. Dla kogo jak nie dla nas? Co, Kreech, dla kogo jeszcze?

– Dla nikogo – powiedział Kreech. – Jak nie my, nikt nie weźmie. – Tak, tak, nikt.

Sooleyrah odwrócił się powoli w ciemności, w wiszącej nad wzgórzem i kryptami ciszy. Spojrzał do tyłu, na stok wzgórza i zobaczył szereg przechodzący przez bramy, które zdawały się teraz prowadzić na zewnątrz, w dół, z powrotem ku zamglonej dolinie. Zobaczył przechodzącego przez bramę, sapiącego i potykającego się Lastena i uśmiechnął się szeroko.

– Hej, grubas Lasten może wybrać dla nas kryptę. Niemal-myślak mówi, że wszystkie puste. Gówno wie. Pamiętasz co mówiła reszta? Reszta myślaków? Mówiła, że mogą pamiętać ile krypt było, pamiętać które użyte, mówiła, że teraz wszystkie puste. Pamiętasz? Co? Pieprzone głupie myślaki oszukiwały nas, długo. Pchały nas tu w górę zamiast same iść, pchały nas ryzykować, mówiły tylko w które kryptę iść, co? O tak, sprytnie, myślaki, a teraz wszystkie są trupy.

Kreech kopnął luźno leżący kamień. Kryły się pod nim świeące blado, pełzające żyjątka, które teraz pozwijały się w pierścienie i szybko zakopały w ziemię.

– Tak, zawsze nienawidziłem myślaków – powiedział Kreech. Zawsze wiedziałem, że to kłamcy. Wszyscy wiedzieli, nie? Tak, dobrze, weź Lastena tutaj, niech wybiera naszą kryptę dzisiaj.

– Tak, daj go tu – powiedział Sooleyrah i, tknięty nową myślą, dodał:

– Lasten wybierze naszą kryptę i pierwszy wejdzie. Pierwszy wejdzie. Honorowe miejsce, nie? – zaśmiał się.

– Pierwszy co wejdzie będzie trup, jeśli podejście nie było dobre. Tak, honorowe miejsce – powiedział Kreech.

– Grubas tego potrzebuje. Daj go tu.

Gdy przyszli po niego Lasten zaczął się bać jeszcze bardziej. Po co jest im potrzebny teraz, kiedy już przeszli przez bramy i są u wejścia do samych krypt? Chyba nie zabiją go tutaj, na milczącym szczycie wzgórza? Czego chcą, czego chcą? (Może chcą wrócić do składania ofiar z ludzi przed kryptami. Niee...) Ale uczucia, które wyłowił z mózgu lidera, gdy został do niego doprowadzony, nie miały w sobie nic morderczego. Była nienawiść, tak, ale dominowało

oczekiwanie i zadowolenie. Ale nie chęć zabijania, nie, nic tak wyraźnego.

– Hej, Lasten, ty jesteś niemal-myślak, tak? – powiedział Sooleyrah i jego głos był miękki, niemal przyjacielski. Ale nie jego jaźń.

– Nie byłem wprowadzony – powiedział Lasten ostrożnie.

– Tak, wiemy. Dobra, ale ty wiesz wiele rzeczy, co? Wiesz dużo o kryptach, słyszeliśmy, które są niebezpieczne, które może puste. Nie wszystkie są puste, Lasten, nie wszystkie. Ty niemal myślak, ty niegłupi, co?

– Myślaki powiedziano ci, że one są puste – powiedział Lasten więc zabiliście myślaki. Jeśli teraz tak mówisz, zabijecie mnie. Sooleyrah, patrząc na Kreecha, uśmiechnął się szeroko.

– Nie, nie, ty niegłupi. Dobra, do której krypty mamy wejść? Lastenowi przeszły ciarki po plecach.

– Chcesz żebym wybrał kryptę? – spytał. – Dlaczego ja? Dlaczego, Sooleyrah?

Sooleyrah zaśmiał się, zadowolony z siebie.

– Ja głównie wiem którą krypta wybrać. Myślaki zawsze to robiły, zawsze. Nie ma już myślaków, ale mamy ciebie. Ty wybieraj. „Więc ja mam wybrać – a jeśli krypta będzie pusta, to moja wina, nie Sooleyraha. A może Sooleyrah nie zna się wcale na kryptach, co?

– Boisz się wybrać samemu, co, Sooleyrah? Boisz się nie znaleźć krypty z tymi waszymi ładnymi rzeczami, co? Tak, przestraszony jesteś, przestraszony.

Nie powinien był tego mówić. Sooleyrah skoczył naprzód, złapał jego rękę i, boleśnie ściskając miękkie ciało, wykręcił do tyłu. Lasten wrzasnął z bólu i zaczął się rzucać, starając się wyzwolić z uchwytu, ale Sooleyrah mocno trzymał.

– Nie przestraszony, grubasie. Nie przestraszony, tylko mądry. Myślaki wiedziały o kryptach, nauczyły cię, co? Tak, grubasie, tak, my wiemy. Potem myślaki mówiły, że wszystkie krypty puste, że nie trzeba robić więcej wypraw, co? Co? Hej, może myślaki mają tu coś i nie chcą, żeby to znaleźć, co? Okradacze nie są głupi, Lasten, i Sooleyrah też niegłupi. Ty wybierz kryptę, ty! I lepiej, żeby nie była pusta!

„Albo od razu ukamienują mnie tu, na miejscu” – pomyślał Lasten, czytając mocne postanowienie w umyśle Sooleyraha., jedyny sposób dla Sooleyraha na zachowanie twarzy po nieudanej wyprawie. O tak, okradaczom będzie się podobać następne kamienowanie, szczególnie tutaj, w tym magicznym miejscu. Magia i śmierć, o tak, będą zachwyceni”.

– I ty wejdiesz do krypty pierwszy, Lasten – powiedział z radosną złośliwością Kreech. –

Jasne, ty, Lasten, honorowe miejsce dla ciebie.

„Zabójcze miejsce” – pomyślał Lasten. „Och wy głupi, pieprzeni Okradacze, wszawi zabobonni mordercy...”

– Która, Lasten? – spytał Sooleyrah, wykręcając mu mocniej ramię, – Która?

Lasten, niemal-myślak, nagle się roześmiał.

– Tak, dobra – powiedział i znów zachichotał, zupełnie jak Sooleyrah czy Kreech, tylko nieco wyżej, ciemniej. – Dobra, tak, dobra, dobra...

Sooleyrah puścił ramię i odsunął się.

– Weź nas do pustej krypty, a nie będziesz się śmiał – ostrzegł.

– Tak, tak, wiem – powiedział Lasten, starając się opanować chichot. To nie było wcale takie śmieszne, to w ogóle nie było śmieszne.

– Ta – pokazał na najbliższą kryptę. – Idziemy do tej.

Sooleyrah i Kreech otworzyli usta ze zdumienia.

– Właśnie ta? Grubasie, ty zwariowałeś? Nic nie ma w tej krypcie nic w niej, od zanim ty i ja się urodziłyśmy.

– Hej tak, pierwsza opróżniona była ta krypta, właśnie ta, nie wiesz tego? – powiedział Kreech.

– Jasne, wiem, jasne. Ale to jest krypta, do której dzisiaj wejdziemy. I patrzcie dobrze, liderze i wypatrywaczu, patrzcie dobrze i zobaczycie, że krypta nie jest pusta. Chcecie więcej ładnych rzeczy, zgromadzonych w kryptach, to patrzcie dziś dobrze!

Stanowczym krokiem zaczął iść w kierunku najbliższej krypty. Sooleyrah i Kreech stali chwilę, niezdecydowani, potem poszli za nim, pociągając za sobą resztę mężczyzn.

„Jasne, pieprzeni okradacze opróżnili tę kryptę jako pierwszą” myślał Lasten. „Byli w niej tak dużo razy, że nie można zliczyć, wyczyścili ją, zabrali wszystko, co znaleźli, każdą rzecz, którą Nieśmiertelni tu schowali. Ale to znaczy, że to jest bezpieczna krypta, cała obrona wyczerpana albo spalona bardzo dawno. Nic tu nie ma, by mnie oślepić, spalić, zabić. Bezpieczna krypta, tak, ale może nie tak pusta jak myślą”.

Drzwi do krypty stały otworem, prowadząc w ciemność, Lasten zażądał światła.

– Dobra, możemy iść – powiedział, gdy zbliżyli się dwaj mężczyźni z zapalonymi pochodniami w rękach. Przeszli przez szerokie drzwi – za Lastenem okradacze z pochodniami, za nimi Sooleyrah i Kreech.

Weszli do wysokiego pomieszczenia; pokrytego kurzem i odłamkami, kompletnych niegdyś, przyrządów. Jedna ze ścian była osmalona zapomnianym wybuchem. Dziura w suficie, niemal niewidoczna w migoczącym świetle pochodni, wskazywała miejsce, gdzie umieszczono, wyrwane już przez okradaczy, urządzenia oświetlające.

Sooleyrah przysunął się do Lastena.

– Nic tu nie widzę, myślaku – w jego głosie brzmiała pogróżka. Lasten kiwnął głową, rozglądając się uważnie po krypcie.

– Widzisz tu coś, Kreech? – mówił Sooleyrah. – Ja widzę, że tu pusto, pusto jak cholera, co?

Kreech wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– O nie, nie pusto – powiedział. – Gruby myślak tu przyszedł, tu nie może być pusto. Co, gruby myślaku? Coś tu jest ukryte, tak? Grubas ukląkł pośrodku pomieszczenia. Patrzył uważnie na podłogę, przesuając się na kolanach, rozgarniając kurz, czasem odrzucając do tyłu większe odłamki gruzu.

– No jasne, ma coś dobrze schowane – powiedział Souleyrah. Hej tam, z pochodniami, tu bliżej, chodźcie bliżej!

Mężczyźni przysunęli się niechętnie. Sooleyrah złapał jednego z nich, przyciągnął i ustawił tuż obok grubasa.

– Ty też – powiedział do drugiego. Mężczyzna podszedł bliżej i wyciągnął pochodnię nad głową Lastena.

Lasten zachichotał.

– Znalazłeś, co? Co to jest, grubasie? Lepiej bądź dobry, ty wiesz to, co, grubasie? Co to? – spytał Sooleyrah.

Lasten wiedział, że Sooleyrah i inni byli przestraszeni bardziej niż to okazywali. Okradacze zawsze bali się krypt, bez względu na to, jak często je ograbiali i mimo to, że ostatnio było coraz mniej, spowodowanych przez systemy obronne, przypadków śmierci i okaleczeń.

„Okradacze myślą, że to wszystko to jakieś diabelskie sztuczki. Gównno, żadnych demonów, żadnej wstawaj magii. Tylko rzeczy, o których zapomnieliśmy, nawet myślaki zapomniały. Ale ja wiem o kryptach jedną rzecz, której Sooleyrah nie wie”.

Lasten podniósł się, rozejrzał wokół i zatrzymał wzrok na południowej ścianie. Wisiała na niej metalowa płyta, pokryta napisami diabelskimi znakami, jak je nazwali Okradacze – jeszcze jeden z czarów, których trzeba się bać.

Lasten nie potrafił tych znaków przeczytać, ale wiedział, co oznaczają. Podeszedł do Sooleyraha i, wskazując tablicę, powiedział:

– Zdejmijcie to ze ściany.

Sooleyrah wytrzeszczył na niego oczy.

– Zdejmijcie to ze ściany! Podważcie, użyjcie waszych noży, ale bądźcie ostrożni.

Sooleyrah wahał się przez chwilę, potem wskazał jednego z mężczyzn tłoczących się przy wejściu.

– Takker, ty. Weź nóż, rób co myślak mówi. Reszta, wy pilnujcie drzwi, myślak może uciec.

Takker niechętnie wszedł do krypty i wyciągnął nóż. Był to Mocny kawał metalu, który Takker kiedyś znalazł i długo polerował aż powstało ostrze. Wsunął go pod płytę i podważył. Płyta poruszyła się.

– Tak, tajne miejsce – powiedział. – Niespodzianka dla was.

Płyta spadła na podłogę, dzwięcząc metalicznie. W ścianie ukazał się mały otwór. Lasten podeszedł i zajrzał do wewnątrz. Zobaczył małą tarczę, pokrytą krótkimi znakami – takimi, jakich Oni używali do oznaczania liczb. Zamek czasowy, ustawiony na przyszłość, na jakiś odległy dzień, gdy skończą się wojny. Ale ustawienie może być zmienione – nie ma powodu, dla którego nie mogłoby być zmienione.

Lasten przekręcił tarczę, wyraźnie słysząc w ciszy, która zawisła w krypcie, jej delikatne skrzypienie.

„Kręć, kręć, czas się zmienia. Płyną lata, lata”.

Pokręcał tarczą, czekając, aż zamek czasowy się otworzy. Stał w półmroku, gdyż mężczyźni z pochodniami odsunęli się do tyłu, i czuł otaczający go ze wszystkich stron strach. Nawet Sooleyrah i Kreech przysunęli się bliżej drzwi. Potem podłoga krypty zaczęła się unosić. Jej część, dwukrotnie dłuższa od wzrostu człowieka i w połowie tak szeroka, oddzieliła się od reszty i unosiła się przy akompaniamencie szumu podziemnych maszyn.

Patrzyli, zdumieni i przerażeni, jak blok ciężkiego plastoidu wyrasta z podłogi i zatrzymuje się, górną krawędzią sięgając im niemal do ramion.

To była skrzynia o przezroczystych bokach. Wewnątrz leżał Nieśmiertelny – albo diabeł, bóg, potwór. Był ogromny, dwukrotnie większy niż Sooleyrah czy Lasten, czy ktokolwiek z nich. Mogli to zauważyć nawet gdy leżał, nawet w migoczącym świetle pochodni.

Mechanizmy skrzyni, warcząc i poskrzypując, zaczęły budzić się do życia. Lasten widział,

jak pokrywa skrzyni unosi się, poczuł zapach uciekającego ze środka stęchłego powietrza, zobaczył, że cienka wskazówka na zwróconym ku niemu bloku, przechyliła się do końca umieszczonej pod nią skali. Widział, jak ciało giganta wygina się i drga konwulsyjnie, jak napinają się mięśnie. Usłyszał jęk, niski i słaby, głowa potwora przetoczyła się, ukazując Lastenowi blade usta i obwisłe policzki.

Igły i przewody wyskoczyły z ciała, schowały się w ścianach skrzyni, wskaźniki uspokoiły się.

Oczy Nieśmiertelnego otworzyły się i spojrzały na nich. Bez wyrazu, puste.

„Zabije, zabije, wielki niehumanoidalny potwór zabije nas wszystkich, zabije nas, nie, nie!”

Oczy otworzyły się szerzej i potwór znów jęknął, głęboko i głośno.

„Nienawidzi nas, zabije, zabije nas, mnie zabije, mnie, mnie, mnie, nie, nie!”

Gigant próbował usiąść. Ręce pozbawione koordynacji, pozbawione siły, drapały ściany skrzyni. Oddychał szybko, płytko, wydając ciężkie, charczące dźwięki.

Kreech wrzasnął. Rzucił się ku drzwiom i, ciągle krzycząc, zaczął się przebijać przez blokujących mu drogę, skamieniałych mężczyzn. Kilku z nich, odepchniętych, zatoczyło się do tyłu. Ocknęli się i, wrzeszcząc, pognali za Kreechem. Sooleyrah, porwany falą, również zawył i zaczął biec ku drzwiom, po chwili jednak zwolnił i zatrzymał się.

Lasten stał bez ruchu, z nogami wrosniętymi w podłogę, wypełniony obezwładniającym strachem zarówno własnym, jak i płynącym od otaczających go mężczyzn. Czerwony, dławiący strach, wypełniający gorącym żołądek, płuca...

„Zabije mnie, zabije mnie, mnie, mnie, zabije...”

Gigant usiadł i to było potworne. Dwa razy wyższy od człowieka, jęczał i chwiał się nad nimi. I przemówił.

– Boże... och, Boże... czym wy jesteście? Czym wy jesteście? Słaby, cienki głos. Pełen strachu.

– Pomóżcie mi... proszę, pomóżcie...

Nagle pochylił się w bok i wypadł, przetaczając się przez brzeg skrzyni i uderzając głową o podłogę. Lasten zatoczył się do tyłu. Potwór wiał się, ręce szukały czegoś w powietrzu, nogami wstrząsały drgawki, ślina kapłała z otwartych ust. Nagle zwiotczał i zapiszczał cicho, rozpaczliwie:

– Och, Boże, proszę...

„Zabije mnie, zabije mnie, mnie zabije, zabić, zabić” i Lasten nagle miał w rękach duży kamień, podbiegł naprzód i rzucił z całą siłą w twarz potwora. Kamień zgniótł oko. Popłynął cienki strumyczek krwi. Gigant znów zaczął więc się, jęczeć i dygotać. Lasten uderzył jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze... Wrzeszczał teraz, wrzeszczał, by zagłuszyć krzyki potwora i uderzył go znowu, i znowu, i mocniej...

W końcu od ściany krypty odbijał się tylko jego własny krzyk Potwór, Nieśmiertelny, nieludzki gigant leżał u jego stóp, cichy, zniszczony. Sooleyrah i wszyscy inni uciekli. Lasten przestał krzyczeć. Wyrzucił poplamiony czerwienią kamień i oparł się o skrzynię, patrząc na zachlapaną krwią nogi i ręce.

„Żyję, ja żyję, żyję... ja, ja, żyję...”

Dopiero godzinę później Sooleyrah i Kreech, skradając się, podeszli do krypty. Przez cały ten czas wewnątrz panowała cisza. Potwór nie wyszedł, by ich złapać.

Kreech niósł pochodnię. Wyciągnął ją przed siebie, przez wejście w ciemność krypty. Zauważył demona-potwora i odskoczył do tyłu. Potem jednak zdał sobie sprawę, że potwór leży zupełnie nieruchomo, że jego głowa jest zgnieciona, otoczona kałużą krwi. Sooleyrah przepchnął się obok niego i wszedł do krypty. Zobaczył Lastena, sięgającego w głąb skrzyni, szarpiącego i wyciągającego pęk drutów, czerwonych, żółtych, niebieskich, zielonych... Lasten podniósł oczy, zauważył Sooleyraha i zachichotał.

– Chodź, Sooleyrah – powiedział. – Chodź, mały tancerzu. Nie ma już demona, by cię skrzywdził, o nie, nie ma demona, nie ma potwora. Diabeł przestraszył cię? Ale zabiłem go – JA! Nie bój się, tancerzu, nie bój się, chodź tu. Tutaj jest dużo rzeczy, och dużo. W innych kryptach też.

Wyciągnął przed siebie garść kolorowych drutów. – Ładne?

Taniec Przemieniającego się i Trójki

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

Zdarzyło się to przed wiekami w otchłaniach Kosmosu rozciągających się za Czarną Krawędzią, tam gdzie galaktyki pływają w nicości niczym nieme białe wieloryby. Było to tak dawno temu, że gdy światło z galaktyki, w której znajduje się Loarra, dotarło po wielu milionach lat podróży do Ziemi, nie było na niej jeszcze nikogo, kto mógłby je dostrzec – może z wyjątkiem nielicznych okrucich życia pływających w oceanach, ale te zbyt były zajęte swymi monotonnymi, jednokomórkowymi reakcjami, by zwracać uwagę na cokolwiek poza tym.

A jednak, chociaż historia ta zdarzyła się tak dawno temu, obecni mieszkańcy Loarry ciągle jeszcze ją pamiętają i gdy tylko poprosi o to jeden z nowo przemienionych, opowiadają ją swymi zawiłymi, zmiennymi falotańcami. Falotaniec nic by dla was nie znaczył, nawet gdyby udało się wam go zobaczyć, podobnie zresztą jak sama ta historia, gdybym opowiedział ją dokładnie tak, jak w rzeczywistości przebiegła. Traktujcie więc ją jak tłumaczenie i nie przejmujcie się, że gdy mówię „woda”, to wcale nie mam na myśli naszej tlenowo-wodorowej mieszaniny i że „niebo” w naszym rozumieniu na Loarrze nie istnieje, czy też że Loarrańcy nie byli – nie są – istotami „czującymi” i „myślącymi” tak, jak my to rozumiemy. W gruncie rzeczy możecie nawet traktować tę opowieść jak fikcję literacką, ponieważ znajduje się w niej diabelnie mało autentycznych faktów; ja jednak i tak na szczęście (albo niestety) pozostanę mądrzejszy od was, bo wiem, jak bardzo jest prawdziwa. Dlatego właśnie jestem z powrotem tu, na Ziemi, podczas gdy czterdzieścioro dwoje moich przyjaciół i współpracowników pozostało martwych na Loarrze. Nie dano im żadnej szansy.

Był kiedyś Przemieniający się, który spędził trzy pełne cykle życia planując szczególnie sposób zakończenia kolejnego z nich i wreszcie uznał, że nadszedł odpowiedni moment, by przystąpić do działania. W rzeczywistości wcale nie nazywał się Minnearo, ale ja będę używał tego imienia, bowiem jest ono najbliższe temu, co zawierało się w mieszance tonu, wzorca emocjonalnego i skojarzeń, stanowiącej jego jednostkową nazwę.

Kiedy podjął decyzję, zszedł ze skały, ze szczytu której spoglądał na loarrański ocean, i udał się pospiesznie do osobowości domów trzech swych najlepszych przyjaciół.

– Zamierzam popełnić samobójstwo – oznajmił pierwszemu z nich, Asterrei, falotańcząc tę wiadomość w najradośniejszy ze znanych mu sposobów.

Przyjaciel roześmiał się, tak jak tego oczekiwał Minnearo, ale niemal od razu odwrócił się i odszedł pozostawiając go samego, bowiem ostatnio miało już miejsce kilka samobójstw i powoli robiło się to po prostu nudne.

Swemu drugiemu przyjacielowi oddał Minnearo honorowy salut, z niezwykłą starannością odtwarzając każdą z sześćdziesięciu jego sekwencji, poczym zafalotańczył:

– Jeżeli ktoś miałby ochotę popatrzeć, to jutro pogrążę me ciało w oceanie.

Drugi przyjaciel, Fless, uśmiechnął się wyrozumiale i odpowiedział, że owszem, przyjdzie zobaczyć widowisko.

Trzeciemu przyjacielowi Minnearo opisał za pomocą wielu podekscytowanych odbić i podskoków to, co jego zdaniem stanie się z nim w chwili, gdy zamkną się nad nim rozkołysane fale oceanu. Taniec, którym starał się oddać swoje domniemanie, był wymyślny i nawet dosyć obrazowy, jako że Minnearo znaczną część swego trzeciego cyklu spędził właśnie na jego obmyślaniu. Wykorzystywał w nim ruch, barwę, dźwięk oraz pewien nie znany nam zmysł, coś w rodzaju węchu, a wszystko po to, by możliwie wiernie oddać uczucie spadania, zderzenia z wodą, a potem błyskawicznego rozpuszczenia i zmieszania z oceanicznymi prądami, ogarniających go mroków i utraty świadomości, następnie kompletnej pustki i niebytu, aż wreszcie obudzenia i dopełnienia przemiany. Minnearo był z natury raczej romantykiem, toteż wyobrażał sobie, że jego ponowne skupienie nastąpi wokół źdźbła życia Krollima, jednego z wielkich bohaterów Loarry, i że forma, jaką przybierze, będzie właśnie taka, krollimowa. Zakończył nawet swój taniec aluzjami do przyszłej chwały i w konsekwencji imitowania jego, Minnearo, przez innych. Było to już zdecydowanie arogancją, jednak przyjaciel, do którego taniec był skierowany, kilkakrotnie skinął z aprobatą głową.

– Jeżeli spełni się choć połowa tego, co przewidujesz – powiedział ów przyjaciel, Pur – to ci zazdroszczę. Ale nigdy nic nie wiadomo.

– Właśnie – westchnął dość markotnie Minnearo. Zwlekał przez chwilę z odejściem, bowiem Pur był czymś, co chyba lepiej będzie nazwać kobietą i Minnearo miał nieśmiałą nadzieję, że może razem dokonają tego skoku. Ona jednak, nawet jeśli również o tym myślała, to nie dała tego po sobie poznać: spoglądała tylko chłodno na Minnearo, czekając żeby sobie poszedł; co też wreszcie uczynił.

A o stosownym czasie, obserwowany przez swego przyjaciela Flessa, Minnearo wykonał swój ostatni falotaniec jako Minnearo – trochę nerwowy i niezbyt dokładnie skoordynowany, ale było to w tych okolicznościach zrozumiałe, po czym zbliżył się do krawędzi i skoczył, koziółkując w powietrzu. Zanim uderzył w wodę, zdążył wykonać pełne dwadzieścia cztery obroty.

Fless czym prędzej pospieszył do Asterrei i Pur, by opisać im ze szczegółami przebieg całego wydarzenia. Obydwoje śmiali się i cieszyli w odpowiednich miejscach, toteż całość można było uznać za sukces. Potem usiedli we trójkę i zaczęli zastanawiać się nad tym, jak powinni pomścić Minnearo.

W porządku, wiem, że większość z powyższego nie ma żadnego sensu. Być może dzieje się tak dlatego, że próbuję opowiedzieć wam o Loarrze używając naszych, ludzkich pojęć i terminów, a to w odniesieniu do istot tak bardzo nam obcych jest poważnym błędem. W rzeczywistości Loarrańcy są niemal wyłącznie żywymi formami energii, ich świadomość zaś koncentruje się w każdym cyklu życia wokół przestrzennego ośrodka zwanego przez nich „źdźbłem życia”, toteż gdy widzi się przyjmowane przez nich kształty (tak jak ja je widziałem, dzięki specjalnym filtrom percepcyjnym opracowanym przez naszą ekspedycję), przypominają czasem spiralne obłoczki, kiedy indziej gromadzące się wokół magnesu opiłki, czasem zaś na wpół stopione płatki śniegu (tak właśnie musiał owego dnia wyglądać Minnearo, bowiem jest to forma właściwa osobnikom bardzo starym lub popełniającym samobójstwo). Kształty te, rzecz jasna, ulegają ciągłym zmianom, ale każdy osobnik trzyma się z reguły jednego podstawowego wzoru.

Sama Loarra jest gazowym olbrzymem krążącym tak blisko wokół jej słońca, że rok trwa na niej zaledwie trzydzieści siedem Ziemijskich Dni Standardowych (w Układzie Słonecznym jej orbita zmieściłaby się swobodnie wewnątrz orbity Wenus). Planeta ma stałe jądro o całej masie twardych wybrzuszeń przypominających wyspy, ale zdecydowana większość jej powierzchni znajduje się w stanie płynnym bądź gazowym; wiruje, wrze i unosi się pod wpływem potężnych sztormów i huraganów. Dla każdego, kto choćby trochę przypomina człowieka, nie jest to miejsce zbyt zachęcające, ale znajduje się tu coś, co przyciągnęło uwagę Unicentrali: bogactwa naturalne.

Czy wyobrażacie sobie, jak może wyglądać górnictwo na planecie, gdzie w wyniku działania temperatury lub ciśnienia większość metali znajduje się w stanie płynnym? Większość ludzi sobie tego nie wyobraża, głównie dlatego, że dosyć rzadko mamy z taką sytuacją do czynienia, ale na Loarrze sytuacja ta była faktem i to w dodatku bardzo, ale to bardzo interesującym. Chociażby dlatego, że nasze analizy wskazywały na istnienie pierwiastków występujących do tej pory wyłącznie w teorii – a i to zakładając warunki panujące jedynie w jądrach gwiazd. Gdyby

udało nam się do nich dobrać... No właśnie, wiecie już, o czym myślę. Perspektywy surowcowe rysowały się doprawdy bardzo interesująco.

Jasne, wysłanie odpowiednio wyposażonej ekspedycji pochłonęłoby połowę zasobów Układu Słonecznego; niemniej jednak Unicentrala pomruczała coś do siebie przez dwie i osiem dziesiątych sekundy, po czym przekazała dokładne instrukcje, co i jak trzeba przygotować. I tak oto poleciliśmy.

A jeden Rok Standardowy później (czyli Pięć Lat Standardowych temu), byłem już na miejscu i siedziałem we wnętrzu posadzonej na jednej z „wysp” góry udającej Ziemię, zastanawiając się, co też u diabła tu właściwie robię. Nie jestem przecież ani inżynierem-górnikiem, ani lekarzem, ani informatykiem – szczerze mówiąc, nie mam w ogóle żadnej specjalności wymagającej choć odrobiny technicznego wykształcenia. Jestem fachowcem od reklamy i doprawdy nie widziałem żadnego powodu, dla którego miałbym się znaleźć na tej cholernej, nieprawdopodobnej, parszywej, a co najważniejsze absolutnie nie nadającej się do zamieszkania planecie.

Taki powód jednak istniał, a była nim, rzecz jasna, sama Loarra. Oni przecież tutaj żyli (a raczej „żyli”), byli inteligentni, więc musieliśmy się z nimi dogadać. Ergo: ja.

Tak więc przez następnych kilka lat, dogadując się z nimi i służąc za swoisty pomost w kontaktach, udało mi się sporo o nich dowiedzieć. W każdym razie wystarczająco dużo, żeby przełożyć, choćby nieudolnie, falotaniec Przemieniającego się i Trójki, który jest odpowiednikiem heroicznego poematu ludowego (czy raczej mógłby być, gdyby cokolwiek z tego, co oni mają, można było uznać za odpowiednik czegokolwiek, co jest u nas).

Wracając do rzeczy:

Fless postulował zawiązanie między Trójką swego rodzaju Paktu, na mocy którego każde z nich, celowo i świadomie rezygnując z obowiązujących honorów, popełniłoby samobójstwo dokładnie w ten sam sposób, co Minnearo.

– W ten sposób uda nam się zabić to samobójstwo – wyjaśnił ożywionymi zafalowaniami.

Pur okazała się bardziej praktyczna.

– W ten sposób uda nam się zabić tylko to jedno samobójstwo – poprawiła go. – To nie wymaga ani krzty pomysłowości, można to zrobić bez chwili namysłu. Minnearo zasługuje na coś więcej.

Asterrea, wydawało się, nie miał własnego zdania. Skakał dokoła mieniając się najróżniejszymi barwami, to znikając, to znów się pojawiając nieco dalej lub bliżej. Czekali, żeby coś powiedział; wreszcie się ustabilizował, zawisł na moment w powietrzu, po czym opadł na ziemię, gdzie już pozostał. Powolnymi, wyważonymi poruszeniami oznajmił:

– Nie jestem pewien, czy zasługuje na jakąś oryginalniejszą zemstę. Przecież to wcale nie było nowe samobójstwo. A poza tym kto na s pomści? – zapytał, teraz już nieco bardziej wyrazistym zafalowaniem.

– Jeżeli to, co zrobimy, będzie wystarczająco wielkie – odparła ostrożnie Pur – to nie będziemy może potrzebować żadnej zemsty.

Pozostała dwójka zamarła na moment w środku swych falowań, rozważając tę ewentualność. Fless przeszedł od błękitu poprzez zieleń do jaskrawej czerwieni, która następnie ustąpiła miejsca przydymionej żółci; Asterrea pulsował głębokim ultrafioletem.

– Każdy zawsze był mszczony – powiedział wreszcie Fless. – To co mówisz, nie ma żadnego sensu.

– Gdybyśmy jednak zrobili coś rzeczywiście wielkiego... – powtórzyła Pur i zaczęła emitować ciepło, które przyciągnęło, choć nie od razu, jej rozmówców. – Coś, czego nikt nigdy wcześniej nie dokonał, w ż a d n e j postaci. Coś co nigdy nie będzie mogło zostać pomszczone, ponieważ będzie czymś p o z y t y w n y m – nie przemianą w śmierć, nie zniszczeniem, zniknięciem czy zapomnieniem, ale czymś p o z y t y w n y m.

Ultrafiolet Asterrei pogłębiał się coraz bardziej, aż w końcu on sam wyglądał tylko jak dziura w powietrzu.

– To niebezpieczne, niebezpieczne, niebezpieczne! – zajęczał kiwając się apatycznie w przód i w tył. – Wiesz, że nie możemy się tego podjąć; musielibyśmy zrezygnować z następnych cykli życia. Przecież to, co pozytywne... – zniknął w ciemności i nie pojawił się przez dobrych kilkanaście sekund. Kiedy znowu się pokazał, był zupełnie nieruchomy, ale pulsował lekko i widać było, że z każdą chwilą odzyskuje siły.

Pur odczekała, aż jego barwa i ton powrócą do normalnego stanu, po czym zafalowała w specjalny, delikatny sposób obliczony na to, by ponownie skierować pozostałych dwóch Loarrańczyków na tory chłodnej, rozsądnej dyskusji.

– Zastanawiałam się nad tym już od sześciu cykli – zatańczyła. Z pewnością muszę mieć rację, przede mną nikt tak długo nie zajmował się tą sprawą. To co pozytywne, wcale nie musi

być niebezpieczne, bez względu na to, co twierdzą teorie trzy – i czterocyklowe. Wręcz przeciwnie, może to mieć nawet dobroczynne skutki. – Przerwała, rozsiewając pomarańczowy blask. – A poza tym to będzie coś n o w e g o – dodała szybką spiralą. Och, jak bardzo nowego!

I tak wreszcie zgodzili się na realizację jej planu.

Przedstawiał się on w skrócie następująco: na odległej wyspie wynurzającej się z największych głębin loarrańskiego oceanu, gdzie potworne, nigdy nie ustające sztormy rozbijały płynne stopy metali w unoszącą się w powietrzu oślepiającą zawiesinę, znajdował się Ośrodek sił, unikany przez wszystkich mieszkańców Loarry ze strachu przed nieuniknioną i ostateczną śmiertelną przemianą. Nawet najstarsze falotańce znane od czasów prehistorycznych utrzymywały, że Ośrodek ów znajdował się tam zawsze i że sami Loarrańczycy tam właśnie się narodzili lub stamtąd uciekli, czy w jakiś inny sposób oszukali panujące tam niepodzielnie prawa. Jakakolwiek byłaby prawda, to Ośrodek pochłaniał ogromne ilości energii, przyciągając do siebie każdego Loarrańczyka czy jakakolwiek inną istotę, która miała nieszczęście znaleźć się w jego zasięgu. (Całe życie na Loarrze zbudowane jest bowiem z czystej energii – łącznie z pozbawionymi inteligencji, zapachu, głosu i wolnej woli, unoszącymi się na falach oceanu i w powietrzu stworzeniami, których jedyne zadanie i sens istnienia polega na tym, by służyć za źródło pożywienia. Było ich mnóstwo na całej planecie, ale Loarrańczycy niemal ich nie dostrzegali; jedli, gdy byli głodni, i to wszystko.)

– Więc chcesz, żebyśmy zniszczyli O ś r o d e k? – wykrzyknął Fless tańcząc i kiwając się na boki z podniecenia.

– Niczego nie będziemy n i s z c z y ć – odparła chłodno Pur. – To będzie przemiana ż y c i a; nie destrukcja.

– Przemiana życia? – zapytał słabo Asterrea, kołysząc się w powietrzu.

– Tak, przemiana życia – powtórzyła. Bo przecież Ośrodek ów stworzył niegdyś, czy może dopuścił do tego, by zostali stworzeni Najstarsi z Loarrańczyków, owe istoty-sprzed-wielu-cykli, które następnie łączyły się i dzieliły, zmieniały i przemieniały, by wreszcie dać początek współczesnym mieszkańcom planety. A skoro już raz tam coś powstało, to dlaczego nie miało powstać po raz drugi?

– Ale jak? – zapytał Fless starając się zachowywać maksimum rozsądku. Zatańczył pytanie z wielką precyzją, świecąc cały czas stabilną, niewzruszoną energią.

– Będziemy potrzebować pomocy – oświadczyła Pur i zagłębiła się w wyjaśnienia, jak to

kiedyś usłyszała (od wiatroptaka, istoty o dość ograniczonej inteligencji, ale za to doskonałej pamięci), że jeden z Najstarszych wciąż jeszcze trwa w pierwszym cyklu życia w osobowości domu mieszczącym się blisko Ośrodka. W pradawnych czasach, kiedy to samobójstwo uważane było jeszcze za najbardziej ostateczny ze wszystkich sposobów dokonania zmiany cyklu życia, ów Najstarszy dokonał przekształcenia za pomocą czegoś, co można by nazwać „samobójstwem negatywnym”; zmarł w swym obecnym stadium, tak że zarówno jego świadomość, jak i forma zewnętrzna powtarzały się bezustannie, podczas gdy wszyscy dokoła wraz z następującymi po sobie kolejnymi przekształceniami zmieniali się, dojrzewali i dorośleli, różniąc się coraz bardziej od pierwotnych postaci, a jednocześnie mając coraz więcej wspólnych wspomnień, on zaś, ostami z Najstarszych, trwał niezmiennie taki, jakim był na samym początku. Znał, pamiętał i rozumiał tylko ów początek.

Z tego właśnie powodu jego przemiana była najtragiczniejszą ze wszystkich, jakie dokonały się na Loarrze (wiatroptak słyszał również z ośmiu niezależnych źródeł i każdą z tych relacji powtórzył słowo w słowo, że przez wieki, jakie minęły od chwili jego przemiany, niezliczone setki Loarrańczyków próbowały go pomścić, ale nikomu się to nie udało). Nikt jej również nigdy nie powtórzył i dlatego ten Najstarszy był w ogóle jedynym Najstarszym na Loarrze. Z tego właśnie powodu odgrywał tak wielką rolę w ich planach, zakończyła Pur.

– Ale jak on może żyć w pobliżu Ośrodka i nie zostać przez niego pochłonięty? – zapytał Asterrea za pomocą zdumionej sekwencji kurczenia się, rozrastania, przygasania i świecenia.

– Tego właśnie musimy się dowiedzieć – powiedziała Pur i po stosownych pozdrowieniach i rytuałach cała trójka wyruszyła na poszukiwanie Najstarszego.

W tym miejscu każdy falotańczący opowieść o Przemieniającym się i Trójce poświęca sporo czasu na to, by za pomocą nagłych zmian koloru, rozbłysków światła, subtelnie cieniowanych obłoków ciemności, podskoków, obrotów, skłonów i uników opisać scenę, w której Pur, Fless i Asterrea rozpoczynają podróż przez odwieczny ocean. Widziałem ten taniec niezliczoną ilość razy i za każdym następnym wydawało mi się, że tylko cieniutka, niemal niewyczuwalna granica dzieli mnie od tego, by w pełni pojąć znaczenie, jakie przedstawia on dla Loarran. Zawieszono nisko obłoki wyrzucające z siebie nieukierunkowaną, martwą energię, w dole ryczący ocean, usiłujący dosięgnąć przemykających się nad nim podróżników, wirujących dokoła siebie po skomplikowanych trajektoriach, jak elektrony bawiące się w kółko graniaste dokoła niewidocznego jądra. Lamenty przemieniających się i chichoty nowo przemienionych pozostały

daleko za nimi, na poszarpanej wysepce. Do tego ich barwy: krwistoczerwona Asterrei, jaskrawozielona Flessa i spokojna, złota – Pur. Ciągłe ich widzę i słyszę, ale dla mnie jest to tylko obce, niezrozumiałe piękno, nie zaś uniesienie, egzaltacja i groza, jakie obraz ten wywołuje u Loarran.

Kiedy wędrowcy odczuli wibracje i zawirowania powietrza świadczące o tym, że znajdują się już blisko Ośrodka, przerwali lot i zawisli w bezruchu nad ciemnym, wzburzonym oceanem. Porozumiewali się tylko krótkotrwałymi migotaniem barw, bowiem znaczną część energii musieli skupić na tym, by nie poddać się odczuwalnemu działaniu Ośrodka.

– To gdzieś tutaj? – zapytał Asterrea błyskiem zieleni.

– Chyba bliżej Ośrodka – odparła czerwienią i fioletem Pur.

– Czy na pewno? – wyraził wątpliwość Fless, ale nie otrzymał od Pur odpowiedzi, od Asterrei zaś nawet jej nie oczekiwał.

Ocean ryczał, wiatr wył, a Ośrodek coraz bardziej ich przyciągał.

W pewnym momencie poczuli, iż wbrew ich woli zmienia się ich wzajemne położenie, i przeżyli moment strachu, że jednak ulegli oddziaływaniu Ośrodka. Przysunawszy się bardziej do siebie zaczęli wirować jeszcze szybciej niż poprzednio, tworząc coraz bardziej pogmatwany wzór, ale nic to nie pomogło. Jakaś przemożna siła uparcie starała się ich rozdzielić, przesuując ich jednocześnie coraz bliżej punktu, w którym koncentrowały się nieznane, tajemnicze moce.

I właśnie wtedy poczuli, że jest z nimi Najstarszy.

Przyłączył się do ich ruchu; to chyba właśnie dlatego odczuli przez moment, że coś zakłóca ich wzajemne oddziaływanie. Wirując i migocząc najróżniejszymi barwami Najstarszy poprowadził ich ponad groźnym oceanem, promieniując cały czas ciepłem, które potrafiło się przebić przez najzawziętszą nawet nawałnicę. Przyglądali mu się z podziwem.

Doprawdy, nie przypominał wcale żadnego z nich. Tak jakby... jakby nie był wyłącznie energią. W połowie składał się z materii i ten swój niezwykle ciężar nosił z niezgrabnym, wiekowym wdziękiem, naprężając swe zewnętrzne kontury niemal do granic ich wytrzymałości, by tylko mogły utrzymać ciężar jego materialnego środka i nieść go przez powietrze. (Przypominał nieco na wpół roztopiony płatek śniegu, tak, nawet na pewno, tyle że ciemny i ponury, zupełnie jakby przysypany sadzą.) Jak na razie jeszcze się nie odezwał.

Przemówił dopiero wówczas, gdy doprowadził całą Trójkę do bezpiecznego zacisza swego osobowościostwo stojącego na skraju niewielkiej skały sterczącej z odmętów. Tam, w oazie

ciszy i spokoju, do której nie sięgał ryk oceanu i gdzie nie trzeba się było obawiać niszczącego działania Ośrodka, powiedział z wyraźnym zmęczeniem:

– A więc przybyliście.

Mówił powolnym falowaniem w przód i w tył, zabarwionym jednostajną, ciemną czerwienią.

Trójka nie miała pojęcia, co na to odpowiedzieć; dopiero po pewnym czasie postanowiła zaryzykować Pur:

– Czy czekałeś na nas?

Najstarszy raz i drugi rozbłysnął odrobinę intensywniejszą czerwienią i po dłuższej chwili powiedział:

– Ja nie c z e k a m. Nie ma na co. – A po jeszcze jednym rozbłysku: – Czeką się na przyszłość. A przyszłości, jak wiecie, nie ma.

– Przynajmniej nie dla niego – powiedziała łagodnie Pur do swych towarzyszy. Fless i Asterrea opadli lekko na skalistą podłogę i zaczęli się miarowo kołysać.

Najstarszy również osiadł na podłodze, ale w przeciwieństwie do nich pozostał w bezruchu. W powietrzu unosiła się już tylko Pur, lecz i ona nie mogła rozjarzyć się bardziej niż do spokojnego, niebieskozielonego blasku.

– Ale wiedziałeś, że przyjdziemy – zwróciła się do Najstarszego.

– Że przyjdziecie? Ze przyjdziecie? Owszem, a także i to, że przyszlście i że przychodziecie. Dla mnie, widzicie, istnieje tylko dzisiaj. Kiedy wszyscy przeminą, ja ciągle będę Najstarszym. Nigdy się nie zmienię – ani ja, ani mój świat.

– Inni już przeminęli – powiedział Fless. – Żyjemy wiele cykli po tobie, o Najstarszy. Tak wiele, że nie potrafiłyby ich zliczyć nawet wiatroptaki.

Najstarszy wyprostował nieco swą część materialną, dopasowując do niej starannie zewnętrzny obieg energii. Do czerwieni, którą promieniował, dodał ledwo słyszalny, lekko wibrujący pomruk i powiedział:

– Tu, na skale, nie ma nic po mnie. Przychodząc tutaj znajdujecie się poza czasem, dokładnie tak jak ja. Wasza obecność tutaj oznacza, że zawsze tu byliście i zawsze będziecie, dopóki nie zdecydujecie się odejść.

Niespodziewanie Asterrea rozbłysł oślepiającym, żółtym światłem i wyprysnął w górę. Fless przyglądał się, Pur zaś próbowała go uspokoić, Asterrea jednak starał się przebić przez granicę oddzielającą schronienie Najstarszego od szalejącego za zewnątrz sztormu. Z każdym razem

odbijał się od niewidzialnej ściany i za każdym razem powracał, próbując ją sforsować. Zmieniał błyskawicznie barwy, wydawał niezwykle dźwięki, aż wreszcie opadł bez sił na kamienną podłogę.

– Pułapka! Pułapka! – pulsował słabo. – Ośrodek jest pułapką, powinniśmy byli o tym wiedzieć. Nigdy się stąd nie wydostaniemy.

Najstarszy nie zwracał najmniejszej uwagi na to, co robi Asterrea.

– I właśnie dlatego, że jestem poza czasem, Ośrodek nie może mi nic zrobić – powiedział powoli. – I właśnie dlatego, że jestem poza czasem, znam go, ponieważ pamiętam, jak sam się z niego narodziłem.

Pur zostawiła Asterreę tam, gdzie leżał, i zbliżyła się do Najstarszego. Zawisła nad nim, zastanawiając się przez moment drganiem niebieskiej poświaty, po czym zapytała:

– Czy możesz nam powiedzieć, jak się narodziłeś? Czym jest akt stworzenia? Jak powstają nowe rzeczy? – Zamilkła, by po chwili dodać: I czym jest Ośrodek?

Najstarszy, pochylony nieco do przodu, wydawał się bardzo zmęczony. Jego barwa znowu się zmieniła, przyjmując głęboki, czerwony odcień, i Trójka mogła dostrzec każdy z atomów materii uwieczonych w jego polu energetycznym.

– Tak wiele pytań, by zadać jedno pytanie – powiedział i udzielił im na nie odpowiedzi.

A ja nie mogę udzielić wam na nie odpowiedzi, ponieważ sam jej nie znam. Nikt jej teraz nie zna, nawet współcześni Loarrańczycy, którzy po tysiącach miliardów cykli stali się wreszcie Trójką. Loarrańczycy bowiem robią się coraz bardziej odmienni... Przechodząc z cyklu do cyklu stają się innymi „osobami” i po tak ogromnej liczbie przemian wszelkie wspomnienia i pamięć tracą wszelki sens. („Sam się o tym przekonaj”, zafalotańczył kiedyś do mnie pewien Loarrańczyk i nic nie wskazywało, że uważa to za żart.)

Do dziś na przykład cała Trójka, co prawda oddalona od tamtej niepoliczonej ilości cykli, a jednak ciągle ta sama, przygląda się Tańcowi Przemieniającego się i Trójki, i chociaż jest to przecież o nich, to są tym bardzo podnieceni i poruszeni, jakby była to zupełnie nowa, nie znana im opowieść, jakby nigdy tego sami nie przeżyli. A mimo to jeśli tancerz pomyli się w jakimś ruchu czy opuści jedną z barw lub którykolwiek z dźwięków, Trójka natychmiast go poprawia. (Sam legendarny Przemieniający się, Minnearo, także często zjawia się podczas falotańców, ale najczęściej znika zaraz po odtworzeniu swego samobójstwa.)

Nawet korzystając z wielkich możliwości Unicentrali trudno jest czasem odróżnić jednego

Loarrańczyka od drugiego. A możliwości te są naprawdę niemałe i dzięki nim wyposażony byłem w najróżniejsze rodzaje filtrów recepcyjnych, symulatory częstotliwości i grawitacji oraz w zajmujący więcej niż połowę powierzchni mojej małej wysepki minikomputer, który w ciągu dwóch sekund może przemyśleć i przeanalizować więcej niż ja w ciągu pięćdziesięciu lat. Podczas czteroletniego pobytu na Loarrze poznałem” sporo jej mieszkańców, ale nawet pod koniec pobytu nigdy nie byłem zupełnie pewien, z kim akurat „rozmawiam”. Oczywiście mogłem przeprowadzić siedemnaście czy osiemnaście testów, podłączając filtry do odpowiednich wejść komputera, i po niedługim czasie otrzymać pewną w stu procentach odpowiedź, ale Loarrańczycy nie są zbyt cierpliwi i zanim bym z tym skończył, mój rozmówca, kimkolwiek by nie był, już gdzieś indziej tańczyłby i podskakiwał w tej piekielnej mieszance, którą oni nazywają powietrzem. Tak więc najczęściej prowadziłem moje badania, negocjacje czy po prostu zwykłe pogaduszki z każdym, kto tylko zechciał zwrócić uwagę na moje unoszące się w powietrzu elektroniczne „oczy”, i wkrótce przekonałem się, że naprawdę nie ma większego znaczenia, z kim rozmawiam: żaden z nich nie mówił choćby odrobinę bardziej z sensem od reszty. W mojej opinii wszyscy co do jednego byli totalnymi szaleńcami, kretynami, idiotami, maniakami i w ogóle wszystkim, co najgorsze.

Jeżeli sprawiam wrażenie zgorzkniałego, to tylko dlatego, że taki jestem w istocie. Jestem zgorzkniały z powodu czterdziestu dwóch zamordowanych ludzi. Ale teraz powróćmy już do najwspanialszej legendy starożytnej, dumnej rasy:

Gdy Najstarszy powiedział im to, co chcieli usłyszeć, wszyscy, nie wyłączając Pur, zaczęli skakać, błyskać i tańczyć w powietrzu. Było to właśnie to, o co im chodziło, a nawet więcej. Była to całkowita, wyczerpująca odpowiedź na ich pytania, która pozwoli im na twórcze przeżycie każdej z negatywnych przemian, jaka tylko mogłaby ich czekać.

Po pewnym czasie Trójka doszła do siebie i przypomniała sobie o rytuałach.

– Dziękujemy ci w imieniu Minnearo, którego samobójstwo mamy pomścić – zafalotańczył pełnymi szacunku ciemnobłękitnymi spiralami Fless.

– Dziękujemy ci także w naszym własnym imieniu – powiedział Asterrea.

– Dziękujemy ci wreszcie w imieniu nikogo i niczego, to bowiem jest największe z możliwych podziękowań – zakończyła Pur.

Najstarszy nie zareagował na ich słowa, pulsując niezmiennym rytmem głębokiej czerwieni.

Dopiero po dłuższej chwili przemówił.

– Przyjęcie podziękowań równa się wzięciu na siebie odpowiedzialności, a w wiecznie trwającym dzisiaj, w którym się znajduję, o czymś takim nie może być mowy, bo nie istnieje przecież coś takiego jak nowy czyn, wobec którego zajmuje się jakieś stanowisko. Jak wiecie, jestem poza czasem, a to znaczy niemal to samo, co być poza życiem. Wszystko, co wam powiedziałem, już kiedyś słyszeliście i usłyszycie jeszcze nie raz.

Niemniej jednak Trójka z wdziękiem i bez najmniejszej pomyłki odprawiła starannie wszystkie ceremonie dziękczynne – barwnodźwiękowe przedstawienia, tańce, ofiarowywanie własnej energii i tak dalej.

– Można dziękować nawet za czyn z odległej przeszłości lub nieświadomy odruch, a my dziękujemy przecież za coś więcej – powiedziała Pur. Najstarszy pulsował tylko ciemną czerwienią i nic nie odpowiedział; po pewnym czasie Trójka ruszyła w drogę.

Uzbrojeni w wiedzę, którą się z nimi podzielił, nie mieli żadnych kłopotów z przebyciem bariery chroniącej osobowościom Najstarszego i po chwili znaleźli się znowu w sercu kłębiącego się dokoła Ośrodka sztormu. Przez długie minuty wisieli tylko w powietrzu, wirując wokół siebie w najciaśniejszych z możliwych splotach, podczas gdy huragan i przyciąganie Ośrodka czyniły wszystko, by ich rozerwać. Potem sami się rozdzielili i rzucili się prosto w serce Ośrodka, w którym zniknęli.

Podczas spadania nie czuli ani ruchu, ani upływu czasu. Nie wiedzieli o tym, że są już po przemianie – przemianie z istnienia w nieistnienie, z bytu w niebyt. Wiedzieli tylko tyle, że oddali się we władanie Ośrodka, że są zagubieni w ciemności i bezwymiarowej pustce. Wiedzieli, że gdyby wydali z siebie jakiś dźwięk, nie odpowiedziałoby im żadne echo, że błysk światła zginąłby w ciemności, nie miałby bowiem od czego się odbić. Znajdowali się w miejscu, z którego wzięło się życie i miejsce to było puste. Dopiero miało zostać wypełnione. Przez nich.

Wykorzystali więc znajomość sekretu, który zdradził im Najstarszy, sekretu, który ci na Początku odkryli tylko przez przypadek i który mógł zapamiętać tylko jeden z Najstarszych. Przygotowali się do tego jeszcze przed wnikiem do Ośrodka, więc teraz niemal automatycznie robili to, co do nich należało; były to czynności nieświadome, niemal bezładne, które mogłaby wykonać nawet nieożywiona energia. I gdy wszystko zostało zrobione, tam, gdzie należało, i wtedy, kiedy akurat było to konieczne, nastąpił akt stworzenia.

Była to istota – dostarczyciel żywności. Powstawała w roztaczającej się dokoła nich pustce,

rosnąc i promieniując coraz silniej swą jednostajną, szarawą poświatą, aż w końcu była już gotowa. Unosiła się przez moment bez ruchu, a potem, niczym podmuchem eksplozji, została wyrzucona poza Ośrodek, poza nicość, poza ciemność i milczenie, prosto w huczącą potworność szalejącego na zewnątrz huraganu. A za nią, za tym prymitywnym okruchem życia, które udało im się stworzyć, wyleciała także cała Trójka.

Na zewnątrz skupili się odruchowo wokół siebie i zaczęli wirować w najzawilszym i najściślejszym z możliwych wzorów, starając się desperacko przeciwstawić okrutnej, rozszarpującej ich sile. Ponownie poczuli wszechmocny uścisk Ośrodka i zrozumieli, że jeżeli mu się nie oprą, zostaną wciągnięci jeszcze raz, ale tym razem już na zawsze. Byli niemal zupełnie wyczerpani; Ośrodek zabrał im więcej, niż przypuszczali. Właściwie nie mieli pewności, czy w ogóle żyją, a przecież musieli się jakoś przeciwstawić miazdzącym ciosom burzy i Ośrodka, i spleść się w wirujący kłęb, któremu udałoby się przedostać tam, gdzie było cicho i spokojnie.

Istniał tylko jeden sposób, dzięki któremu mogli to osiągnąć.

Tknięci jednym impulsem rzucili się na bezmyślną istotę, którą dopiero co stworzyli, i pożarli ją.

Nie jest to właściwie koniec Tańca Przemieniającego się i Trójki – trwa on jeszcze trochę, opowiadając o zaszczytach, jakie spotkały Trójkę po powrocie, i o reakcji Minnearo, gdy ten zakończył swą przemianę pojawiając się wokół źdźbła życia pozostawionego przez umierającego wiatroptaka, i o tym, jak cała Trójka zrezygnowała z wszelkich honorów i niemal od razu dokonała własnych przemian – ale jakoś nigdy nie mogę się nad tą resztą skupić. Zawsze uderza mnie ten właśnie moment opowieści, kiedy Trójka niszczy to, co stworzyła, w wyniku czego wraca dokładnie z tym, z czym wyruszyła. Nie ma w relacji o tym nawet odrobiny ironii, a jednak, jeżeli chodzi o Loarrańczyków, jest to emocjonalny szczyt narracji. W gruncie rzeczy jest to w ogóle cały sens Tańca i jedyny powód jego istnienia, jak wyjaśnili mi dużo jaskrawszymi barwami i gwałtowniejszymi poruszeniami niż wtedy, gdy mówią o czymś nie budzącym większych emocji. Gdyby Trójce udało się wrócić bez konieczności zjedzenia istoty, którą stworzyli, to ich osiągnięcie zostałoby po prostu należycie odnotowane, pochwalone, wyśmiane przez nowo przemienionych i zapomniane w ciągu dwóch cykli życia.

I takie właśnie są te istoty, z którymi musiałem sobie jakoś radzić i których praw miałem

bronić. Byłem ambasadorem na planecie rojącej się od stworzeń, które najspokojniej mogłyby mi oświadczyć, że dwa plus dwa równa się kolor pomarańczowy. Tak, właśnie dlatego jestem z powrotem na Ziemi, i dlatego też jest tu reszta ekspedycji; to znaczy ci, którym udało się przeżyć.

Gdybyście mogli zapoznać się z piętnastotąsmowym raportem, który dostarczyłem Unicentrali (ale nie możecie, bo wszystkie swoje porażki Unicentrala klasyfikuje jako „ściśle tajne”), to nie dowiedzielibyście się o Loarze niczego ponad to, co wam przekazałem relacjonując Taniec Przemieniającego się i Trójki. Dowiedzielibyście się nawet mniej, bo chociaż raport zawiera całą masę faktów i danych oraz wszelkie mogące je wyjaśnić teorie, jakie tylko zdołałem sam wymyślić lub jakie udało mi się wycisnąć z komputera, to nie ma w nim zbyt wiele informacji o Tańcu. A tylko w ten sposób, na wyczucie, nie na inteligencję, można zrozumieć, z czym mieliśmy tam do czynienia. Po czteroletnim (w Latach Standardowych) pobycie na Loarze, po nawiązaniu kontaktów, wymianie podarunków, uprzejmości i informacji, po rozpoczęciu prac górniczych i prowadzeniu ich bez żadnych większych przeszkód przez mniej więcej trzy lata, po tym wszystkim zostaliśmy zaatakowani. Pewnego dnia zza horyzontu wypełzła fala ciemnofioletowego światła, a gdy się zbliżyła, dostrzegłem, że jest to olbrzymia chmara jarzących się tym samym blaskiem Loarrańczyków. Znajdowałem się wewnątrz góry, toteż widziałem i przeżyłem wszystko, co później nastąpiło.

Spadli na nas jak szarańcza. Za pierwszy cel obrali sobie ciągniki i spychacze. Metal, z którego były wykonane, rozżarzył się do czerwoności, białości, roztopił się, by wreszcie zmienić się w opary gazu, w którym znajdowały się także molekuły tworzące jeszcze niedawno siedemnaście ciał ludzkich.

Włączyłem sygnał alarmowy i wezwałem wszystkich do środka, ale udało się to tylko nielicznym. Reszta znalazła śmierć w tunelach, w których dopadli ich Loarrańczycy. Wtedy zapadły grodzie i góra została odcięta od świata zewnętrznego. Zostało nas sześciu obserwujących na ekranach, jak Loarrańczycy kończą dzieło zniszczenia, likwidując fragmenty budowli i wyposażenia, które z początku uszły ich uwadze.

Wysłałem na zewnątrz troje elektronicznych „oczu”, ale i one zmieniły się natychmiast w parę.

A potem czekaliśmy, kiedy uderzą w górę... Sześciu przerażonych, milczących, spoconych mężczyzn skupionych w centrali.

Nie uderzyli. Uformowani w ciasną spiralę okrążyli trzykrotnie górę, opadli w dół pięknym, pożegnalnym ześlizgiem i zniknęli nam z oczu. Pozostała ich tylko garstka.

Po jakimś czasie wysłałem czwarte „oko”. Jeden z Loarrańczyków zbliżył się do niego, okrążył je niczym robaczek świętojański, rozbłysnął całą gamą barw i zawisł przed nim bez ruchu. Była to Pur, co prawda o tysiąc milionów cykli oddalona od tej, którą znamy i kochamy, ale przecież Pur.

Wysłałem sekwencję barw i poruszeń, która znaczyła mniej więcej: „Dlaczego to, u diabła, zrobiliście?!”

Pur przez kilka sekund świeciła spokojnym, żółtym blaskiem, po czym udzieliła mi odpowiedzi niemożliwej do przetłumaczenia. A jeśli ktoś by jednak próbował ją przełożyć, otrzymałby wówczas tyle, co „dlatego”.

Zapytałem po raz drugi, tylko w inny sposób, a ona odpowiedziała mi również inaczej, ale znaczyło to dokładnie to samo. Zapytałem po raz trzeci i czwarty, i za każdym razem otrzymywałem tę samą odpowiedź. Wydawała się zachwycona możliwością różnorodnego tańczenia tej samej odpowiedzi. Może myślała, że się bawimy?

No cóż... Wysłaliśmy już wcześniej sygnał alarmowy, więc nie pozostało nam nic innego jak czekać na przybycie statku ratowniczego i mieć nadzieję, że wcześniej nie nastąpi powtórny atak, bo przecież nie mieliśmy żadnych możliwości obrony. Byliśmy tylko górnikami, a nie garnizonem wojskowym. Zresztą ciekawe, jak wojskowi poradziliby sobie z przeciwnikiem, który jest czystą energią. Przez cały czas wysyłałem na zewnątrz „oczy” i rozmawiałem z różnymi Loarrańczykami. Czekaliśmy na statek trzy tygodnie i przez ten czas z pewnością udało mi się rozmawiać z co najmniej setką z nich. Oto, co udało mi się ustalić:

Przyczyna, która skłoniła ich do zniszczenia naszej ekspedycji, była dla nas nie to, że niezrozumiała, ale po prostu nieprzetłumaczalna. Nie, nie są szaleni. Nie, nie chcą, żebyśmy odeszli. Tak, możemy wywozić z ich planety wszystko, na co tylko mamy ochotę.

I co najważniejsze: Nie, nie potrafią mi powiedzieć, czy kiedykolwiek powtórzą atak.

A więc odlecieliśmy, dokuśtykaliśmy na Ziemię i złożyliśmy raporty Unicentrali. Zawarliśmy w nich, jak powiedziałem, każdą informację, jaką tylko mogliśmy sobie przypomnieć, łącznie z szacunkowymi ocenami wartości odkrytych na Loarrze złóż: jest to około sześciu razy więcej, niż wartość wszystkich zasobów naturalnych całego Układu Słonecznego. Decyzję, czy powinniśmy tam wrócić, pozostawiliśmy Unicentrali.

Unicentrala brzęczy i mruży już od dziesięciu miesięcy, ale jak na razie decyzji nie podjęła.